Nr. 34. We Lwowie, Poniedziałek dnia 25. sierpnia. 1890.

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO".

Z Japonii.

Najcenniejszemi dla literatury europejskiej są doniesienia o stanie obecnym Japonii podawane przez krajowców którzy przebywając przez czas dłuższy za granicą, zdołali sobie wyrobić sąd przedmiotowy w ocenianiu wewnętrznych stosunków swej ojczyzny. Z wykształceniem europejskiem łączą ci pisarze dokładną znajomość swego kraju, społeczeństwa, stosunków społecznych i politycznych, w czem nie mogą im dorównać europejs y turyści. Zbyt może pochopni do bezwzględnego zastosowywania zdobyczy zachodniej cywilizacyi w swym kraju, liczą się zawsze z kierunkiem ściśle narodowym i starają się na każdym kroku zawarować samodzielne stanowisko Japonii. *L'Oeconomiste Français* w jednym z ostatnich numerów zamieszcza rozprawę wyszłą z pod pióra Ourakami i traktującą obszernie o politycznej i ekonomicznej sytuacyi w Japonii. Bardziej wszakże wyczerpująco wyraził się w tymże samym przedmiocie dr. Jeshiro Ono w pracy, publikowanej w styczniu roku bieżącego przez „amerykańskie towarzystwo ekonomiczne."

Zdaniem dra Ono, Japonia przechodzi obecnie podobne przesilenie społeczno ekonomiczne, jakie było udziałem Anglii za rządów Walpolea z końcem ubiegłego wieku. Wprowadzenie maszyn musiało spowodować zupełny przewrót w stosunkach roboczych, co musi pociągnąć za sobą konieczne reformy ustawnicze i administracyjne. Przewrót ekonomiczny zwykł zawsze iść w parze z reformą etyczną. Także sytuacya polityczna Japonii nie jest jeszcze w zupełności ustaloną.

Rządy feudalne runęły pod obuchem rewolucyi z r. 1868, taikun zrezygnował z swej władzy na rzecz mikada, wszechpotężna szlachta postradała swe dawne wpływy. Na miejsce dawnego porządku rzeczy nie stworzono wszakże nic nowego, gdyż ogół ludności mimo 30.000 szkół, jakie w tym czasie założono, pozostaje w gruncie rzeczy zwolennikiem dawnych, f udalnych i antikomercyalnych stosunków. Przejście z średniowiecznego porządku rzeczy do cywilizacyi nowoczesnej odbyło się zbyt pospiesznie. Dawniej każda prowincya była z osobna dla siebie niemal odrębnem państwem, pod zarządcem daimiosów. O wspólności interesów przemysłowo-handlowych nie było i mowy. Drogi w całym kra u z wyjątkiem gościńców wiodących do Tokio, pozostawały w najokropniejszym stanie. Dola włościanina, mimo patryarchalnego stosunku, łączącego go z dziedzicem gruntu, była bardzo smutną. Stopa zarobkowa wykazywała jak największe różnice w rozmaitych prowincyach. Pieniądz papierowy był już dawniej znanym w Japonii. Około 1868 roku istniało tu 29 rodzajów pieniędzy papierowych obok 49. odmian monety (23 w złocie, 19 w srebrze, 5 w miedzi, 2 w żelazie).

Po rewolucyi miasta, otaczające rezydencye możnowładcze, przybrały wybitny charakter handlowy, jakkolwiek część pewna dawnej ich ludności wyniosła się na wieś. Od początku bieżącego wieku przyrost roczny ludności jest bardzo znaczny, gdyż wynosi przeciętnie 360.000 głów. Z czasem, wobec wyrównania się międzynarodowej stopy zarobkowej cały ten ogrom sił roboczych stanie do konkurencyjnej walki w produkcyi ze starą Europą. Dziś stopa zarobkowa w Japonii jest niesłychanie niską, niższą przy rękodziełach, niźli przy zajęciach rolnych, jakkolwiek dzień roboczy obejmuje od 12—14 godzin pracy. Obecnie jeszcze niska ta stopa zarobkowa nie może zaważyć wiele na targu światowym, gdyż robotnik japoński posługuje się najpierwotniejszemi narzędziami przy swej pracy. Z chwilą wszakże wprowadzenia pracy maszynowej i przy pomocy kapitałów anglo-amerykańskich nastąpi i w tej mierze bardzo doniosły przewrót, wobec którego Japończycy żywią bardzo różne zapatrywania. Chcieliby oni, co prawda, bogactw zachodniej cywilizacyi, lecz równocześnie pragną zachowania swych zwyczajów i urządzeń. Jedno z drugiem nie da się pogodzić. Nawet najbardziej przychylni cywilizacyi zachodniej przywiązują przy budowie nowych dróg żelaznych wielką wartość do faktu, by począwszy od robót konstrukcyjnych a skończywszy na maszyniście, wszystko było wykonywane siłami krajowemi. „Cudzoziemcy"—pisze dr. Ono—„którzy byli nam nauczycielami w tej umiejętności na wezwanie ministerstwa roaót publicznych dostali dziś z małymi wyjątkami odprawę."

Gospodarstwo rolne w Japonii jest przeważnie rozdrobnione. Zdarzają się wprawdzie *latifundia*, lecz właściciele takowych parcelują je z reguły między drobnych dzierżawców. Typem zamożnego włościanina w Japonii jest właściciel dwóch hektarów roli. Ten mieszka w schludnym domku o trzech lub czterech izdebkach, do którego przylega obszerna stodoła. Utrzymuje do pomocy stale jednego wyrobnika. W maju orze rolę pługiem na 8—9 cali głęboko, poczem rozbija starannie każdą najmniejszą grudkę ziemi, tak, iż cała powierzchnia roli robi wrażenie, jak gdyby była pokrytą drobną wartwą pyłu. Poczem następuje sztuczne nawodnienie całego obszaru do wysokości 8 cali i kobiety zasadzają wychodowane w grządce ryżowe

pflance w symetrycznych szeregach. W ciągu lata polewa się pole sztucznym kompostem (mięszanina słomy i wapna), skutkiem czego ryż rozwija się wspaniale. Gdy przychodzi pora dojrzewania, odprowadza się wodę z pola — żniwa następują z końcem września, lub w październiku. Staranni chodowcy otrzymują z hektara 45—54 hektolitrów ryżu. Jest to tak zwany ryż błotny, który udaje się szczególnie w nizinach. Ryż górski, uprawiany w górach, nie potrzebuje wprawdzie tak starannej uprawy, sztucznego nawodnienia, lecz nie jest tak wydatnym; plon jego nie przenosi zazwyczaj 13 hektolitrów z hektara. W ogóle w Japonii bardzo znaczne obszary ziemi leżą odłogiem. Nawet w prowincyach gęsto zaludnionych ugory zajmują dwie trzecie części obszaru. W roku 1888 wedle urzędowego sprawozdania 18.700.000 hektarów ziemi stanowiło własność rządową, podczas gdy 13.200000 hektarów jest w ręku prywatnych właścicieli. Na to zaledwo pięć milionów hektarów używa się pod uprawę. Jeźli zważymy, że Japonia pod względem gęstości zaludnienia o 40% przewyższa Francyę, wówczas z łatwością przyjdziemy do przekonania, że uprawa roli musi być wzorową a potrzeby życiowe mieszkańców bardzo umiarkowane. Liczba bydła rzeźnego i pociągowego jest bardzo niewielką, wystarczającą jedynie na pokrycie potrzeb krajowych. W wielu okolicach kraju klimat jest tak korzystnym, iż żniwa odbywają się dwa i trzy razy do roku. Ryż zasiany w maju, zbiera się w jesieni, z początkiem zimy sieje się na tem samem miejscu zboże, które dojrzewa z wiosną, poczem sadzi się kartofle lub jarzynę, którą uprzątają z pola już z początkiem maja. Przeciętny, czysty dochód z dwóch hektarów gruntu oblicza dr. Ono w wysokości 586 franków rocznie, nie licząc w to dochodu z hodowli jedwabników i tkania bawełny, czem się zajmuje prawie każda rodzina wieśniacza.

Oprócz ryżu, zboża, owoców i jarzyny, głównym produktem rolniczym są drzewa morwowe, herbata, bawełna i cukier. W roku 1887 wywóz jedwabiu doszedł do cyfry 110 milionów franków, wywóz herbaty wyniósł w tymże czasie 38 milionów. Drzewo morwowe daje z hektara 1200—1800 franków dochodu rocznego. Niemniej zyskowną jest uprawa herbaty w pewnych okolicach archipelagu. Uprawa herbaty jest wprawdzie bardzo uciążliwą, lecz jeden hektar dostarcza 2500—6200 funtów liści. Cztery funty świeżych liści dają funt suchej herbaty. Kultura bawełny i trzciny cukrowej jest stosunkowo najmniej rozwiniętą. Produkcya w tych działach nie starczy nawet na pokrycie potrzeb ludności.

Rolnictwo, ogółem rzecz biorąc, wymaga jeszcze wiele ulepszeń, których konieczność rząd uznaje. W tym celu zakłada wzorowe plantacye, urządza wystawy rolnicze i ogłasza konkursy o nagrody. Powstały już nawet szkoły agronomiczne, w których katedry poruczono uczonym zagranicznym. W Tokio urządzono wzorowe gospodarstwo na obszarze 90 hektarów. Autor rozprawy, z której czerpiemy niniejsze wiadomości, spodziewa się pomyślnego rozwoju rolnictwa już w niedalekiej przyszłości pod warunkiem zniżenia stopy podatków gruntowych oraz ułatwienia komunikacyi wewnątrz kraju.

Przemysł japoński w porównaniu z wielkim przemysłem zachodniej Europy spoczywa jeszcze w powiciu. Japonia posiada bogate pokłady węgla niewyzyskane dotyczas racyonalnie. Złote miny, dawniej obfite, wymagają dziś również umiejętnej eksploatacyi, na którą też oczekują rudy żelaza i miedzi. Natomiast przemysł artystyczny Japonii jest aż nadto dobrze znanym Europie, by potrzebował szczegółowej wzmianki. Z tego też jedynie powodu możnaby się obawiać, by wprowadzenie roboty maszynowej nie zabiło egzystencyi tylu artystów-rękodzielników.

Czeska satyra.

Swatopluk Czech nietylko u rodaków cieszy się uznaniem; prace jego także w literaturze ogólnej europejskiej zdobyły sobie zaszczytne stanowisko.

Jego liryka zarówno jak epos i satyry wysnuwają się z przędzy życia narodowego, są przesiąknięte nawskróś duchem czeskim, czego niepodobna powiedzieć np. o utworach wyższego nadeń poetyckim talentem, Vrchlicky'ego. Dla tego też Czech góruje w swej ojczyźnie nad całą plejadą młodych poetów i beletrystów popadłych w kosmopolityzm.

Nie zamierzam zresztą wnikać w działalność tego pisarza, zasługującą na obszerniejsze rozpatrzenie niż to w szkicu krótkim możliwe. Chcę tylko pobieżnie zdać sprawę z najnowszej jego pracy.

Jest to satyra w wielkim stylu, co do formy swej mająca wszystkie znamiona epopei komicznej. Treść jej przedstawia się, jak następuje:

Magistrat pewnej wielkiej gminy (poeta czyni wyraźnie aluzję do Pragi) otrzymuje z Kijowa olbrzymią skrzynię, okrytą ze wszystkich stron napisami cyrylickiemi. W skrzyni, po jej otwarciu, znajdują ojcowie miasta ogromne jaje, ponieważ zaś żadnego objaśnienia nie zawiera ta szczególna przesyłka, nie wiedzą więc, co z darem począć. Ustanawiają tedy osobną komisję. Niech ona łamie sobie głowy nad zagadkowem jajem. Naturalnie zanim obrady w tok weszły, jaje pękło i z łupy wykłuwa się kolosalne pisklę. Stworzenie to nieforemne nie jest podobnem do żadnej z żyjących istot. Sprawia ono tyle kłopotu, że ostatecznie zrozpaczony burmistrz w las je wysyła. Tu dostaje się ptak przedziwny przypadkowo w ręce profesora Slamy, który klasyfikuje go i obdarza nazwą „*Pterodactylus inermis virus Slamae*" Profesor zabiera znaleziony dziwotwór do domu. W duchu przeczuwa on już, jaki z odkrycia honor nań spadnie; widzi laurowe wieńce na skroni, tytuły zaszczytne obok swego nazwiska, adresy chlubne od wszystkich naukowych korporacyj. Niestety jednak piękne jego rojenia rozbijały się aż nazbyt rychło. Naukowy przeciwnik Slamy, profesor Kmin podnosi zarzut, iż wrzekomy *pterodactylus* pokryty jest włosami nie pierzem. Powstaje z tego straszna walka naukowa prowadzona z zaciekłością godną lepszej sprawy. Autorowi służył co do niej jako

model znany spór czeskich uczonych o autentyczność rękopism królodworskiego.

Ostatecznie biedny Slama odnosi kompletną porażkę. Panem sytuacji zostaje wróg jego nieprzebłagany, profesor Kmin, który kolosalnemu ptaku nadaje nazwę „*Apterix enormis omnivorus Cmini*“.

Były *pterodactylus*, a obecnie *apterix* dostaje się po różnych zajściach do muzeum. Tam podrasta. Po pewnym czasie Kmin z przerażeniem spostrzega, iż krzywdę wyrządził Slamie, który tymczasem zniechęcony klęską cofnął się w zacisze życia domowego. Ptak dziwny dostaje ostatecznie pierze. Gorsza rzecz jeszcze: przybiera on takie rozmiary, iż wkrótce muzeum dlań za małe. Jednem uderzeniem skrzydeł rozbija tę klatkę i ulatuje na dach ratusza, gdzie w prawdziwie zastraszający sposób kultywuje swą żarłoczność, pożerając ludzi, zwierzęta, pochłaniając całe dorożki z końmi, a nawet wielkie obładowane wozy. Wszystko to znika w jego nienasyconej gardzieli, nie ma zaś sposobu, aby pozbyć się potworu.

Wtem wpada komuś do głowy myśl szczęśliwa: z dwudziestu roczników rozmaitych czasopism wycięte krytyki i polemiki złożono do jednego woru i podano ptakowi do pożarcia. Velikan Velikanovic — tak lud nazwał skrzydlatego giganta i tak brzmi tytuł satyry — połyka tę truciznę, która też odnosi zwycięztwo nad jego niepokonanym od żadnej niestrawności organizmem. Żołądek Velikana wszystkiemu dał radę, nawet całe fury kamiennego węgla nie zdołały go zadrażnić, — ale krytyki i polemiki pragskich czasopism „dojechały mu końca“, jak to się powiada. W godzinę później leżał już nieżywy na bruku nawiedzonego przezeń miasta..

Poenta to niezawodnie dowcipna, prawdziwie satyryczna, ale ze względu na rozmiary i zakrój całego dzieła przecie zbyt ubożuchna. Podobno też „*Velikan Velikanovic*“ w pierwotnem opracowaniu był w inny sposób na śmierć skazanym, a tylko lękliwość wydawcy skłoniła autora do niezbyt korzystnej dla utworu zmiany.

Mimo to jednak całość podbija czytelnika. Czech okazał się w tem nowem dziele swego talentu znowu prawdziwym mistrzem formy i właśnie mistrzostwu temu ma do zawdzięczenia, że słabe strony utworu przechodzą przed wzrokiem naszym niepostrzeżenie.

Dodać jeszcze należy, iż ilustracje wysoce uzdolnionego rysownika Olivy nie mało przyczyniły się do powodzenia książki, która w pokaźnej ilości egzemplarzy już się rozeszła pomiędzy czytająca publicznością czeską.

Col.

Z jesiennych strof.

Młodość mi w sercu wzbudziła
Rojeń przecudnych tysiące;
Rusałek zaklętych siła
Na każdej widziałem łące.

Strzelały oczkami do mnie
Wodnice z fal chłodnej rzeki;
Krył — w to wierzyłem niezłomnie —
Boginki gaj niedaleki.

Widziały też wówczas oczy
Rozkosze szczęścia jedynie;
Róż nęcił je kwiat uroczy
W samej rozkwitu godzinie.

Nęciła je rozkwitnięta
Lilja wśród blasków swej chwały
I one stare ptaszęta,
Co z pełnych piersi swych grały.

* * *

Odeszła młodość... W świat patrzę,
Jakby cudzemi oczyma...
Czy on dziś na swym teatrze
Żadnych aktorów nie trzyma?

Opustoszały już, rzeki
I łąka z wonnemi zioły;
Swym cieniem chmura obleka
Widnokrąg niezbyt wesoły.

Jakgdyby burza szła tęły,
Żałośna wszędzie dziś zmiana;
Na czarne upadła grzędy
Róża, już w pączku zerwana.

Pająk zniszczenia swe nicie
Snuje nad wszystkiem wciąż cieśniej,
Uwiędła lilja w rozkwicie,
Nie skończył słowik swej pieśni...

Cień.

Obrazek z natury.

(Dokończenie).

— I biłeś się? zapytała niespokojnie Hela.

— Zachciałaś — żyd uciekł.

— Gdzież byłeś do tego czasu Józiu?

— Ano, poszliśmy na Podwalinkę zalać trochę gardła, i jak zaczęliśmy płukać, tak do tego czasu...

— I ty piłeś?

— No widzisz, jak tak z kolegami, to nie można odmówić...

Hela nie odrzekła nic. Józio rozpoczął znowu swój spacer po pokoju.

— A lekcje?

Józio stanął zakłopotany.

— Eh! głupstwo—machnął ręką: nie będą mię jutro pytać...

— Zkąd wiesz?

— Wiem, ot tak, dość, że wiem...

— Lepiej się naucz jeszcze.

— Tak późno — spojrzał na zegar, potem na Helę — pół do pierwszej...

— Proszę cię, Józiu...

— No, no, już dobrze.

Westchnął i usiadł z widocznem niezadowoleniem; stracił humor; zaczął powtarzać lekcje, ale mu nie szło.

— Helu — odezwał się błagalnie — takim śpiący; jutro raniutko wstanę i przepowiem.

Dziewczynka milczała.

— „Qui tacet consentire videtur“ — rzekł sobie na pocieszenie, składając książkę, Józio.

Zdjął surdut i rzucił się na łóżko; w parę minut już chrapał.

Hela oglądnęła uszkodzony nieco tużurek brata i zabrała się do naprawy. Późno już było bardzo, gdy i ona udała się na spoczynek.

. . . .

Był koniec kursu W upalne czerwcowe popołudnie biegła główną ulicą miasta, odnosząc skończoną robotę, smutna, blada Hela. Przeciskała się z trudnością przez tłum, wreszcie zmęczona, zadyszana, zatrzymała się chwilę, opierając o mur.

Urywek rozmowy dwóch studentów obił się o jej uszy:

— Słyszałeś, co się stało?

— Co?

— Nie słyszałeś? Dyrdzio i Krumcio Tuczapski głowę tracą. Alarm straszny!

— Ależ o co?!

— Nic nie wiesz? — Huczy w całem mieście. Józek Nulewicz się utopił!

— Być nie może! Zkąd? Jak? Gdzie?...

— Słowo ci daję Poszli się kąpać...

Hela nie słyszała już nic, nie widziała nic. Przed oczyma jej zamigotały gzygzaki, w uszach szumiało jedno słowo: „Utopił się“.

Zebrała ostatki sił i poczęła biedz bez pamięci, sama nie wiedząc, gdzie. Stanęła przed gimnazjum... Pocisnęła klamkę i wbiegła do pustej sieni.

Z mieszkania swego wyjrzał tercjan, wyszedł naprzeciw i kiwnął protekcjonalnie głową.

— Co pani sobie życzy?

— Chcę się widzieć z panem dyrektorem... wykrztusiła.

Zaprowadził ją do kancelarji. Nad stołem stał dyrektor z okularami na nosie, przeglądając papiery z profesorem.

— Nulewiczowi należała się druga — były słowa profesora, gdy Hela otwierała drzwi.

— Eh, powiedzieliby, że się utopił, bo miał złą klasę — odrzekł dyrektor, poprawiając okulary — kłopot z temi smarkaczami...

Spojrzał na dziewczynkę i zbliżył się.

— Czem mogę służyć?

— Panie dyrektorze — czy to prawda?

Urwała nagle. Profesor podszedł do nich.

— Jeżeli się nie mylę—panna Nulewicz?...

— Tak panie—mój brat—więc to prawda?...

— Niestety — tak, pani.

Śmiertelna bladość pokryła twarzyczkę Heli. Chwyciła rękoma za poręcz krzesła aby nie upaść.

— Może pani życzy sobie odebrać metrykę i świadectwa brata?

Nie mogła mówić. Skinęła tylko głową.

Dyrektor wyszukał papiery i oddał jej. Dziewczynka wzięła je machinalnie i bardzo blada z zaciśniętemi usty i suchem szklannem okiem wyszła z gimnazjum.

Wróciła do domu zwolna Ciche mieszkanko zdawało jej się pustką straszną. Nie miała już sił iść i pytać więcej.

W kącie pokoju, nieruchoma skamieniała, przesiedziała do wieczora bez ruchu i słowa.

Czasami przyciskała ręce do rozpalonego czoła i szeptała spiekłemi wargi.

— Boże! Boże! co się ze mną dzieje!

Słońce zaszło i obrzuciło ostatniemi promieniami małą, duszną izdebkę sieroty.

Przez półotwarte okno zaglądały zielone gałęzie drzew; ptaki świergotały wesoło, staroświecki zegar tykotał monotonnie.

Nagle w sieni dały się słyszeć kroki, drzwi skrzypnęły i progu stanął — Józio w kapeluszu na bakier i z rękoma w kieszeniach.

— Helu — duszo złota — zaczął ale nie skończył.

Przestraszyła go okropna bladość dziewczynki i widok strasznego przerażenia, jakie odbiło się w jej oczach.

Chwycił siostrę, zemdlałą, bezprzytomną i ryknął płaczem.

— Helu! Helu! co tobie? pytał, całując ją po twarzy i rękach.

Z przyległego mieszkania nadbiegła wystraszona sąsiadka i zaczęła cucić dziewczynkę.

Wreszcie Hela otworzyła oczy. Wyciągnęła ręce do brata i szepnęła przez łzy:

— Ty żyjesz, Józiu! Och Boże, dzięki Ci!

Józio wytrzeszczył oczy. Nie rozumiał nic.

Sąsiadka odeszła, wywołana; zostali sami.

— Dlaczego nie miałem żyć, Helu? zapytał.

Dziewczynka podniosła się zdumiona.

— Gdzież ty byłeś, Józiu? Zkąd wracasz?

— Ja? - Ot, powiem ci prawdę, Helu. Dzisiaj była konferencja a, ponieważ spodziewałem się że nie dostanę dobrej klasy, więc na pociechę, poszliśmy się kąpać. Po kąpieli trzeba było się ochłodzić, więc wstąpiliśmy na Podwalinkę na piwo, no i — zwlekło się do tego czasu.

W oczach Heli zabłysła łza. — Powiedzieli żeś utonął! szepnęła.

Józio chwycił się za boki i zaniósł od śmiechu:

— Cha! cha! cha! — to świetne!

— Ja tyle cierpiałam — Józiu — z wyrzutem rzekła smutnie siostra.

Spostrzegł się i schylił nad siostrą.

— Przepraszam cię, Helu.

Objęła jego szyję, całując go serdecznie.

— Och! ale teraz już przeszło wszystko! zawołała z uczuciem ulgi.

Po chwili Józio spytał półgłosem.

— Nie wiesz, jaką mam klasę, Helu?

— Masz pierwszą.

A-d